



Fot. JAM HAUSEBRANDT

## LUBIĘ SŁUCHAĆ LUDZI

ZOFIA KUCÓWNA  
rozmawia Irena Bołtuć

**Z**ofia Kucówna nie wymaga prezentacji. Pisało o niej w gazetach, tygodnikach, wydano o niej książkę. Nie każdy jednak wie, że ma ona nieczęste w teatralnym świecie społecznikowskie pasje. Przez wiele lat zajmowała się z pełnym oddaniem schroniskiem dla aktorów-weteranów w Skolimowie pod Warszawą. Już jako zupełnie młoda dziewczyna okazywała wyjątkowe zainteresowanie ludźmi starymi. Jej wizyty w Skolimowie związane były nie tylko ze sprawami organizacyjnymi. Pamiętam, jak wiele czasu poświęcała na rozmowy z koleżankami, które już dawno musiały opuścić scenę...

— Czy owo zainteresowanie światem ludzi starych wynikało jedynie ze współczucia, chęci pomocy i opieki, czy też dawało Pani coś innego? A może było

Dokończenie na str. 6



## Dokończenie ze str. 1

to doświadczenie potrzebne Pani jako aktorce?

— Podjęłam się opieki nad Skolimowem i potem po prostu sprawy te mnie wciągnęły. Nie było więc w tym świadomego wyboru. Ale nie ukrywam, iż mam szczególny sentyment do ludzi starszych — są oni dla mnie kładką łączącą nasz świat ze światem, który odszedł i nigdy nie wróci. Jestem osobą, która wciąż ogląda się za siebie. Muszę jak gdyby potwierdzać swoje życie, opierając się na życiu innych ludzi. Chętnie wracam myślą do własnych tradycji rodzinnych, a także zajmuję mnie tradycje innych ludzi. Bo zawsze interesował mnie człowiek. I to nie jako aktorkę. Choć zapewne sprawy te w jakiś sposób odbijają się w mojej podświadomości i pracując nad rolą prawdopodobnie nieświadomie czerpię z tych doświadczeń. Dla mnie człowiek jest książką. Życie każdego z nas składa się z myśli, refleksji, uczuć, radości, smutków — to wszystko układa się w jakąś „story”, która może

życiu, uciekają od wspomnień, interesują się wyłącznie tym, co dzieje się dzisiaj, teraz...

— Wspominanie wcale nie jest związane ze starością. To sprawa charakteru, usposobienia. Są ludzie młodzi, którzy cudownie potrafią opowiadać o swojej przeszłości. Ja uciekam tylko od ludzi, którzy mówią, i to ze szczegółami, o swoich chorobach. To jest dla mnie — niezależnie od wieku — objawem starzenia się. Hermetyczne zamknięcie się w sobie, wsłuchiwanie we własny organizm, powoduje, że do takiego człowieka nie dochodzi nic, co jest nawet tuż, obok... Równocześnie znam ludzi po siedemdziesiątce, którzy mają usposobienie młode. Na przykład mój ojciec — wciąż jest aktywny, prowadzi życie, które sam sobie wymyślił. Interesują go sprawy odbudowy zabytków Krakowa, uprawianie działki, majsterkowanie.

— Czyli, Pani zdaniem, starość przychodzi w momencie owego wsłuchania się w siebie, zamknięcia przed światem zewnętrznym w klatkę własnego organizmu. Jednakże to dotyczy

szym wieku powoduje — moim zdaniem — bezustanna konieczność mobilizacji. Wszystkie kłopoty, depresje, opadają ze mnie w momencie wyjścia na scenę. Po prostu muszę wyłączyć się ze wszystkich spraw. Ileż to razy przedstawienie ratowało mnie przed jakąś psychiczną zapaścią. Nawet w wypadkach złego fizycznego samopoczucia, w momencie przekroczenia magicznego miejsca między kulisą a sceną, od razu czułam się inaczej. Konieczność skupienia, skoncentrowania się, stawiała mnie na nogi, skuteczniej niż jakiegokolwiek lekarstwa.

— Może w tym kryje się tajemnica, że aktorzy tak niechętnie przechodzą na emeryturę?

— To prawda, że aktorzy do późnej starości zachowują często możliwość uprawiania swego zawodu. Choć życie aktorskie różnie się układa. Ostatnio na przykład nie mam, właściwie od czterech lat, żadnych propozycji zagrania roli na normalnej scenie. Ale ani mi w głowie siedzieć na stołku i narzekać, że nie mam co grać. W ciągu tych czterech lat nie miałam ani jednej

downię. Po prostu nauczyłam się widowni.

— Czyli przeskok ze sceny Teatru Narodowego do mieszkania pani Marii Dąbrowskiej przy ulicy Polnej pod numerem 40 nie był tak wielki.

— Nie miałam żadnych trudności.

— A może w tym „skoku” z wielkiej sceny w „prywatność” jednoosobowych relacji pomogły Pani wieloletnie doświadczenia w pracy przed kamerami telewizyjnymi?

— Praca w telewizji uświadamia aktorowi, że trzeba użyć innej formy wyrazu, bardziej kameralnej, bardziej intymnej, bardziej skupionej.

— Mnie chodziło nie o środki wyrazu, ale o sposób interpretacji tekstu niedramatycznego — pamiętnika, reportażu, kroniki, dokumentu. Jest Pani mistrzynią w podawaniu tego typu tekstu. Potrafi Pani najbardziej banalne, najbardziej suche zdania tak zinterpretować, że stają się nie tylko jasne i zrozumiałe dla wszystkich, ale nabierają barw, jakich nie ma w oryginale. Powiedziano kiedyś, że potrafiłaby

# LUBIĘ SŁUCHAĆ LUDZI





być powieścią czytana jednym tchem. Lubię słuchać ludzi. Najwspanialszą literaturę pisze przecież życie. Czasem historie ludzkie są takie, że gdyby je spisać i stworzyć z nich książkę, nikt nie uwierzyłby, że mogło zdarzyć się to naprawdę. Życie płynie w sposób niekontrolowany, dzieją się więc nieprawdopodobne historie. Oczywiście nie dotyczy to wyłącznie ludzi starszych.

— Słuchałam ostatnio dyskusji w Instytucie Historii, gdzie zarysowały się dwie teorie. Jedni mówili, że człowiek jest „pamięcią”. Że wszystko jest historią. Bo każde słowo już wypowiedziane, automatycznie staje się przeszłością. Zatem człowiek — to przede wszystkim jego pamięć. Inni natomiast twierdzili, iż oglądanie się za siebie, wspomnianie, to pierwsza cecha starzenia się. Ludzie „wciążnie młodzi” to tacy, którzy, niezależnie od wieku, interesują się teraźniejszością, wciąż bardziej patrzą w przyszłość aniżeli w przeszłość.

— Starość nie jest ani sprawą powrotów do przeszłości, ani życia teraźniejszością — to sprawa decyzji każdego z nas. Już Einstein mówił, że godzina nie jest godziną, bo już minęła w momencie, w którym wybila...

— Są jednak wypadki, kiedy właśnie od ludzi, którzy wiele przeżyli, chcielibyśmy się czegoś o tej przeszłości dowiedzieć. Może tego, czego nie znajdziemy w żadnych dokumentach, a co z odejściem tych ludzi zaginie na zawsze. Tymczasem często właśnie tacy ludzie, o fascynującym

nie tylko ludzi starszych, jest typowe dla wszelakiego rodzaju egocentryków, egotyków?...

— Oczywiście. Ale wszyscy hipochondrycy są właściwie starzy od młodości. Znam osoby, wcale nie stare, o tak typowo egocentrycznym usposobieniu, że nie obchodzi ich świat i nie poza własną osobą.

— Czy nie zaobserwowała Pani, że proces starzenia się aktorów jest inny niż zwyczajnych ludzi? Ze część kompleksu starości mogą wyładować, wcielając się w różne postaci, grając różne „ludzkie życia”?

— Nie potrafię na to odpowiedzieć. Aktorzy spotykają się z zarzutem, że grają i na scenie, i w życiu. Nie wolno tego generalizować. Są aktorzy, którzy grają wyłącznie na scenie, a w życiu nie. A są ludzie, dla których całe życie jest teatrem.

— Jedną z cech starzenia się jest spoglądanie wstecz i dokonywanie jak gdyby bilansu własnego życia. Bilans ten oczywiście prawie nigdy nie jest dodatni. Każdy albo chciał być kimś innym, a okoliczności ukształtowały jego życie inaczej, albo — jeżeli został tym, kim chciał być — pozostał niedosyt tego, co działo w danym zawodzie. I w tym sensie wydaje mi się, iż aktorzy mając w granicach przez siebie rolach tyle różnych „żyć” za sobą, łatwiej mogą przejść przez ten rubikon.

— Nie wydaje mi się. Bo przecież zawsze pozostaje w aktorskim bilansie wykaz ról, których nie udało mu się zagrać. Natomiast możliwość uprawiania zawodu aktorskiego nawet w star-

chwilii gorczy, że nie gram. Staram się sama wymyślać sobie zajęcia, związane z moim zawodem i z pracą społeczną, aby utrzymać aktywność życiową.

— Rzeczywiście. Mogłiśmy Panią oglądać tylko w bulwarówce na scenie Teatru Współczesnego, ale równocześnie zaczęły się spektakle własne, jak choćby seria wspomnień Maril Dąbrowskiej.

— To było konieczne, nie tylko dla ćwiczenia pamięci czy utrzymania się w formie zawodowej, ale ze względu na kontakt z publicznością.

— W tak zwanych małych formach, które uprawiała Pani jeszcze grając w Teatrze Narodowym, sens spektaklu polega przede wszystkim na kontakcie z widzem. Przecież Pani mówi, zwraca się bezpośrednio do swoich słuchaczy...

Uwielbiam ten rodzaj sztuki, właśnie ze względu na kontakt z publicznością. Nie można zapominać, że ja wyszłam z Teatru Hanuszkiewicza, gdzie nigdy nie istniała czwarta ściana. I nawet w sztukach dialogowych, grało się zawsze w bezpośrednim kontakcie z widzem, a partner był tylko koniecznym pośrednikiem w przekazaniu treści.

— Chyba jednak w Teatrze Narodowym było nieco inaczej. Duża scena, wielka widownia. Bliski kontakt z widzami — jak mi się wydaje — możliwy był przede wszystkim w Teatrze Małym.

— Nic podobnego. Dla mnie sytuacja była jednakowa. Właśnie granie w Teatrze Narodowym niezwykle uczuliło mnie na wi-

Pauli wzruszyć widownię, czytając przysłowiową książkę telefoniczną.

— Nie wiem, jak to robię. Nie zdaję sobie sprawy, czy robię to dobrze czy źle. To może ocenić tylko widz. Jeżeli naprawdę robię to dobrze, może to wynika z tego, że mnie ciekawi człowiek i swojego zawodu nie potrafię wykonywać bez partnera. Jeżeli nie ma go na scenie, staje się nim widz. Widz zresztą zawsze jest partnerem. Bo bez partnera na scenie może istnieć teatr, bez widza go nie ma. Lubię obcować z ludźmi, lubię ich słuchać, ciekawią mnie ludzie jako tacy, dlatego potrafię z nimi nawiązać kontakt. Opowiadając śledzę reakcję widowni. Obojętne, czy mam jednego widza, czy 60 osób na Polnej, czy 900 na sali Teatru Narodowego. Nigdy nie spuszczam z oka widza.

— Czyli Pani potwierdza zasadę, zawsze podkreślaną przez teoretyków teatru, iż widz jest twórcą przedstawienia?

— Dla mnie to jest oczywiste. Myślę nawet, że gdyby aktor nagle zachorował i na scenę wszedł widz, który potrafiłby coś opowiedzieć, coś zagrać, coś pokazać — to też byłby teatr. Teatr jest spotkaniem towarzyskim. Ten, kto potrafi zdominować innych, jest aktorem. Reszta pozostaje widzami.

— Może to i prawda. Ale ja zawsze wolę być „zdominowana” przez Zofię Kucównę niż przypadkową „duszę towarzystwa”.

Rozmawiała  
IRENA BOŁTUĆ